

Nazwałem ją Panną Kodi chyba nie do końca sprawiedliwie. Nie wiem, czy była panną, czy nie - równie dobrze mogła być mężatką, rozwódką, wdową, dziwką czy kimkolwiek innym. Jak dowiedziałem się później - była co najmniej jedną z nich. Ja jednak, nie wiedząc o niej nic poza tym, że posiadała paskudnego, nadpobudliwego kundla o dziwacznym imieniu "Kodi", nazwałem ją właśnie tak. To w zasadzie też było bez sensu, skoro już uparłem się na tę "pannę", równie dobrze mogłem ją nazwać Panna Nikt, bo poza jedynym, gardłowym okrzykiem, jaki wydawała z siebie, wzywając niesfornego kundla (Kooooooodiiiiiii!!), nigdy nie usłyszałem z jej ust nawet okrucu słowa. Równie dobrze mogłem ją również nazwać Panną Pończoszanką czy Pippi Langstrumpf, gdyż niezależnie od pogody, czy to mróz, czy upał, zawsze miała na sobie krótką i dość wyzywającą sukienkę z jakimiś dziwacznymi, koronkowymi szamerunkami i wiecznie niedopasowane, cienkie pończochy, rolujące się na jej nogach już w okolicach łydek i opadające bezładnym, nylonowym strumieniem na kostki i toporne buciory. Mogłem w końcu ją nazwać Panną z Dziwnym Krokiem - byłoby to jednak bezduszne i zwyczajnie paskudne : Kodi chodziła bowiem dziwacznie, stawiając kroki chwiejnie i niepewnie, najpierw jedna noga prosto, później zaś lekko wykręcona na bok druga. Kiwała się przy tym, jak kaczką. Kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, z daleka, byłem pewien, że w moją stronę zmierza pijana, długowłosa dziewczyna. Kodi nie była jednak pijana a jej krok musiał być efektem jakiejś przebytej dawno choroby lub wypadku. Nieco później rzucił mi się także w oczy dziwnie nieproporcjonalny kształt jej bioder. Były wprawdzie tam, gdzie być powinny, jednak kiedy Kodi szła tym swoim dziwnym krokiem, jej biodra zdawały się uciekać gdzieś na boki. Wrażenie było bardzo ulotne i trudne do uchwycenia, zwłaszcza, że gdy Kodi stała w miejscu, wszystko wydawało się być w jak najlepszym porządku. Dysharmonia ta powodowała zaciekawienie, nieraz głupie skojarzenia. Teraz wiem, jak naprawdę było z tymi jej krokami, wtedy jednak, na początku, Kodi była dla mnie kompletną zagadką.

I nie chodzi mi bynajmniej o dziwaczny, rozkołysany krok, niedbały ale wciąż wyzywający ubiór (w każdym razie działający na wyobraźnię) czy też jakieś odległe skojarzenia o lekko erotycznym podłożu, których zresztą szybko się sam przed sobą wyparłem. Nie o błędne, dziwnie zamazane czy po prostu zamysłone spojrzenie czarnych oczu, które z początku w ogóle zignorowałem albo nie dostrzegłem. Prawdę mówiąc, widząc ją po raz pierwszy, drugi czy trzeci, ledwo zarejestrowałem jej obecność, gdy zaś przeszła obok mnie, natychmiast o niej zapomniałem. Nie byłoby tajemnicy Panny Kodi, nie zaistniałaby pewnie w ogóle w mojej świadomości, gdyby nie to, że już wkrótce zaczęliśmy na siebie wpadać regularnie. Dzień w dzień, wieczór w wieczór, tydzień w tydzień, miesiącami. Ja - coraz bardziej zaintrygowany obserwator, dla niej bez wątpienia tylko tło, obiekt o statusie fontanny lub szpaleru drzew przy Belwederskiej. I ona - stawiająca chwiejne kroki i wyzywająco ubrana kobieta, obdarzona nieprzytomnym spojrzeniem i wołająca wciąż ochryple swego niesfornego kundla, który szwendał się samopas w mokotowskim parku. Właśnie to wołanie chyba w końcu mnie najbardziej zaintrygowało. Kooooooodiiiiii niosło się echem po parkowych ścieżkach, tym głośniejsze im głębszy panował mrok. W dzień ten okrzyk ginął w szumie samochodów i strumieniu innych, miejskich, mniej lub bardziej drażniących hałasów. Lecz wieczorem, kiedy cichło miasto, niósł się zachrypniętym echem od Grottera aż do Dolnej, od fontanny po kapliczkę przed pałacem Szustra. Było w nim coś desperackiego i pierwotnego, nakazującego i bezbronnego, karcącego lecz zarazem łagodnego. To właśnie wtedy, kiedy po raz pierwszy zawołała za moim plecami a jej głos odbił się od taflí stawu i poleciał w ciemność zrozumiałem, jak mnie bardzo intryguje. I przeraża jednocześnie, chociaż nie umiałem wytłumaczyć, dlaczego.

Wtedy też została Panną Kodi.

* * *

Moja ciekawość rosła. Widywałem ją codziennie - a w zasadzie co wieczór. Czasem w ciągu dnia wpadaliśmy też na siebie gdzieś na styku Promenady z Belwederską czy w połowie Konduktorskiej, jednak niezbyt często. W dzień Kodi nie istniała a spotkana w pełnym słońcu potrafiła błyskawicznie wtopić się w tło. Nie wiem jak to robiła - i czy w ogóle robiła to świadomie - jednak w pełnym oświetleniu była tylko zwykłą, niewyraźną dziewczyną, jedną z tysięcy, nie niosącą żadnej tajemnicy czy zaciekawienia. Jej pokrzykiwanie było niesłyszalne a jeśli nawet - też wtapiało się w uliczne tło. Ani ta przykrótka sukienka, odsłaniająca całkiem spory kawałek ładnych i kształtnych piersi ani zrolowane w obwarzanek pończochy ani te toporne buty nie robiły wówczas na mnie najmniejszego wrażenia. Gdy padało, Kodi zakładała kurtkę lub znoszony, jasny płaszczyk. Gdy świeciło słońce - wielkie czarne okulary, za którymi przepadała na dobre. Dzień nie służył Pannie Kodi ani ona jemu.

Kilka razy powiedziałem jej "Dzień dobry". Nigdy nie odpowiedziała, nie wiem nawet czy wiedziała, kto się jej uklonił. Mimo, że byliśmy od jakiegoś czasu sąsiadami, mimo, że spotykaliśmy się dość regularnie na spacerach, Kodi sprawiała wrażenie zupełnie wyalienowanej z otaczającej ją rzeczywistości, zaś ludzie wokół stanowili rozmazane tło, razem z chodnikami, trawnikami, drzewami czy parkowymi ławeczkami. Gdyby nie kudłaty, sparszywiały kundel, który jako bodaj jedyny wywoływał u niej jakiś ślad emocji, można by pomyśleć, że jest nieprawdziwa.

* * *

Muszę coś wyjaśnić.

Kodi nie wzbudzała we mnie żadnych osobistych emocji. Ani towarzyskich, ani erotycznych ani żadnych innych. Była oczywiście całkiem ładną (choć dziwnie zaniedbaną) kobietą o długich, gęstych, czarnych włosach i tajemniczym spojrzeniu, ubierała się też w sposób, który sugerował, że sfera intymnych doznań nie jest jej ani obca ani obojętna. Nawet te pończochy, raz cieliste a raz czarne, wiecznie zrolowane, sygnalizowały, że zdaje sobie sprawę z tego, co przez wielu uznawane jest za nieprzemijający symbol kobiecości. Nigdy nie widziałem jej w rajstopach czy z gołymi nogami. Ani też w skarpetkach. Nie wiem, czy celowo rolowała te pończochy w obwarzanki, czy zwyczajnie tak się działo samo, ona zaś to miała gdzieś. Zaś całości dopełniały wydekoltowane, krótkie lub przyciasne sukienki, odsłaniające tu i ówdzie kawałeczek bielizny i - czasami - jakieś ozdoby we włosach. Kodi w dziwny sposób eksponowała siebie,

psując jednak wszystko buciorami, topornymi i kojarzącymi się z obuwiami, które noszą zwykle salowe lub kucharki w barach mlecznych. Nie wierzyłem, że nosząc się z wyzywającą nonszalancją, robi to nieświadomie. Nie wiedziałem tylko, po co.

Kilkakrotnie pomyślałem, że jest dziwką. Tak po prostu, nawet na spacerze z psem, nawet w drodze do sklepu po mleko i papierosy nie potrafi albo nie chce wyjść ze swojej pracy. To by rozwiązało zagadkę, uwalniając mnie od Panny Kodi, było jednak zbyt trywialne. Wyzywające opakowanie kryło w sobie coś kompletnie mu zaprzeczającego, obcego, nieuchwytnego i odległego. Nic się nie zgadzało, Kodi była, jak oksymoron albo jak teoria podwójnego wiązania. Jednocześnie była i nie była.

Zagadka rosła wieczorami.

I to właśnie one sprawiły, że tak bardzo zainteresowałem się Panną Kodi. Tak bardzo, że zacząłem się nawet obawiać, czy nie popadam w jakiś szczególny rodzaj paranoi. Cóż mnie bowiem obchodzi obca dziewczyna, choćby nawet najbardziej cudaczna i dziwaczna, wyzywająco ubrana lub nie? Choćby nawet otoczona aurą nieuchwytności i tajemnicy. Próbowałem się otrząsnąć z Panny Kodi, wiedziałem jednak, że kolejny wieczór również spędzę na oczekiwaniu na nią, później zaś, spod oka, będę się jej przypatrywał, usiłując zbliżyć się do nurtującej mnie tajemnicy. I że będzie tak aż do chwili, kiedy tę zagadkę rozwiążę.

To wieczory sprawiły, że popadłem w tę obsesję. Kodi nie interesowała mnie jako kobieta ani jako towarzystwo. Jednak wieczór sprawiał, że ta zimna, wyalienowana i wycofana z rzeczywistości istota ... ożywała. Ożywała tylko na chwilę i tylko trochę, wystarczało to jednak, by przestała być przezroczysta. Właśnie ta przemiana, którą zobaczyłem pewnego wieczoru sprawiła, że kolejne poświęciłem Pannie Kodi.

* * *

Każdy człowiek, niezależnie od koloru skóry, płci czy wyznania ma swoje, mniej lub bardziej irytujące innych, rytuały. Dla jednego będzie to poranna kawa i papieros zaraz po przebudzeniu, dla drugiego dziecię kartek ulubionej książki tuż przed spaniem, jeszcze inni chodzą po chodnikach tylko w określony sposób albo zakładają skarpetki w odpowiedniej kolejności.

Ja również mam swoje rytuały, nie odróżniam się tym samym od ogółu społeczeństwa. Z biegiem lat staję się zapewne, jak stary pies - nie nauczę się, co prawda, nowych sztuczek, jednak te, które znam, wyko-

nuję z przyjemnością i oddaniem. A zwyczajów i utartych nawyków pilnuję z groźnym warknięciem. Jednym z nich, nie bardziej i nie mniej denerwującym od pozostałych, jest wieczorny spacer. Zwykle w określonym miejscu, określonej trasie, choć dopuszczam improwizowane modyfikacje. Spacer kończy się zazwyczaj na mojej ulubionej ławce nad wodą, gdzie wypijam dwa piwa, po czym wracam do domu. Nie jedno, nie trzy i nie sześć a dokładnie dwa. Bywa, że ławka jest zajęta, wówczas spacer trwa nieco dłużej. Bywa, że po moim ukochanym, mokotowskim parku, krąży żądny krwi i mandatów patrol służb porządkowych - wówczas spacer również trwa dłużej, muszę bowiem schować swoją puszkę i poczekać aż panowie (albo panie) pójść sobie w diabły. Tak, czy inaczej, dłużej czy krócej, spacer zazwyczaj wygląda tak samo, nic bowiem nie powstrzyma mnie przed skorzystaniem z naturalnego i niezbywalnego prawa do wieczornego wyciszenia nad wodą, w towarzystwie dwóch puszek piwa na mojej ulubionej ławce.

I właśnie na tej ławce zbliżyłem się nieco do rozwiązania tajemnicy Panny Kodi. Ona bowiem, jak się okazało, również miała swoje rytuały ...

* * *

Przychodziła zwykle o dziesiątej wieczorem. Czasem kwadrans później. W cichym parku już z daleka było słychać, że idzie. Cieszyłem się z tego.

Pierwszy biegł pies, w dzikim pędzie mijając ławki i śmietniki, tu i ówdzie buszując w krzakach i na trawnikach. Co ciekawe - nigdy nie ujadł. W gorące wieczory wpadał jak bomba do płytkiego stawu z nieczynną fontanną, pluskał się i pomrukiwał z zadowoleniem, w pozostałe - po prostu biegał. Za nim nadchodził zapach - dziwna mieszanina wanilii z ledwo wyczuwalną (lecz nie przykrą) nutką potu i czegoś bardziej nieuchwytnego, kojarzącego się z łąkami i rozległymi przestrzeniami, lasem i skoszoną świeżo trawą. Kodi nie żałowała perfum, a może tak po prostu pachniała jej skóra ? Po zapachu szedł znajomy, zachrypnięty okrzyk.

- Koooooodiiii !!!

Pies chował się między liśćmi albo w krzakach, szeleszcząc, pomrukując i udając, że go wcale nie ma.

- Koooooodiiiiii !!!!!

Potem przemijała. Nie mogę napisać, że po prostu przechodziła obok mnie. Ona przemijała.

Parę razy czekałem na nią dłużej - bywało, że zjawiała się spóźniona. Tak to przynajmniej nazywałem w myślach. Dziesiąta trzydzieści, czterdzieści, jedenasta. Raz przyszła nawet kwadrans po północy. Ja zaś tkwiłem, jak ten osioł na mojej ławce, burząc swój odwieczny rytuał. Raz złapałem się na tym, że jestem na nią wściekły - że jeszcze nie przyszła. Innym razem byłem zaniepokojony. Gdy się pojawiała, odczuwałem ulgę : Jest. Nie potrafię powiedzieć, czemu tak głęboko wryła się w moją świadomość. Była przecież obcą mi osobą, z którą w życiu nie zamieniłem nawet słowa. Mimo tego rzeczywiście odczuwałem ulgę, gdy spóźniona wreszcie przychodziła : Pies, zapach, kobieta. Do dziś nie wiem, czy wiedziała, że tak na nią czekam na tej durnej ławce. Nie ma to znaczenia jednak, wystarczało mi, że przeszła – przeminęła - później zaś robiła to, co robiła co wieczór. W tamtym czasie byłem niemal pewien, że jest dziwką - osobliwą ale jednak dziwką. Ale to, kim była odsuwało się na dalszy plan. Fascynował mnie stały zestaw czynności, które wykonywała co wieczór, nie wiedząc, że jest obserwowana albo wiedząc i nie dbając o to.

* * *

Zatrzymywała się zawsze w jednym miejscu. W TYM miejscu. Pośród drzew, kilkadziesiąt metrów od ostatniej w tej alejce ławki. Ławkę od jakiegoś czasu okupował wieczór w wieczór ten sam facet, zamysłony i popijający piwo z puszki, schowanej w przestronnym plecaku. Gapił się na nią uparcie, spod oka, tak, jak każdego wieczoru. Bawiło ją to nawet, jak bardzo usiłował ukryć to wgapienie, udając, że liczy gwiazdy, obserwuje paznokcie albo maltretuje klawiaturę telefonu. Bawiło ... ? Nie, nie bawiło. W gruncie rzeczy było jej to najzupełniej obojętne. Nie liczyło się teraz nic, liczyła się tylko ...

... Ona, Malwina.

Tak, jak zawsze, podeszła do wierzby, zwieszającej gałąź nad spokojną powierzchnią stawu. Niewielki spadek terenu sprawiał, że gdy zerwała gałązkę i zeszła nad wodę by nakarmić jeże, stawała się zupełnie niewidoczna. Dla faceta z ławki i dla świata. Jeże, jak zawsze, przybiegły sporą gromadką, ona jednak - jak zawsze - miała dla nich tylko tę jedną gałązkę. Jeże nie potrafią walczyć, więc rozbiegły się niepokieszone i głodne - znów "jak zawsze" ale przede wszystkim, jak wtedy. I jak wtedy, pobiegł za nimi pies.

Wgramoliła się z powrotem na parkową alejkę, brudząc przy okazji zrolowane wokół kostek pończochy. Będzie musiała je uprać, żeby tylko pamiętać ... Mężczyzna na ławce patrzył w niebo. Szybkim krokiem przeszła na pobliski plac zabaw, o tej porze opuszczony i zastygły w bezruchu, chwilę później była w piaskownicy. Wykopała mały dołek i wrzuciła kamyk, który przyniosła znad wody. Ociężała się podniosła i podeszła do huśtawek - wkrótce nocną ciszę przeorało skrzypienie jednej z nich. Pora iść, już późno. Była zmęczona. Jednak jej zmęczenie nie miało znaczenia, nie liczyło się. Liczyła się bowiem tylko ...

... Ona, Malwina.

Furtka skrzypnęła cicho. Powietrze przeszył gardłowy okrzyk, niewiele jednak głośniejszy od szeptu. Przez te wszystkie lata nauczyła się krzyczeć szeptem.

- Kooooodiiii !

* * *

Od roku, od kiedy po raz pierwszy zobaczyłem, jak Panna Kodi ożywa po zmroku, każdego wieczoru robiła to samo. Stąd zaciekawienie, które przeszło w niemą fascynację. Dziś nie waham się powiedzieć, że to była obsesja.

Na początku biegł pies, potem zapach. Później nadciągała Kodi, człapiąc tym swoim dziwnym, rozkołysanym krokiem, oświetlając sobie drogę pustym spojrzeniem. Dziwka, wracająca z pracy, byłem tego pewien.

Po co jednak, uporczywie i każdego wieczoru, stawała kilka metrów od mojej ławki, nie wydając z siebie żadnego dźwięku a jedynie oddychając głęboko ? Po co był jej listek wierzby, z którym schodziła nad wodę, skąd dobiegał szloch i warczenie psa ? Po co grzebała w ziemi i puszczała w ruch pustą huśtawkę po czym szybko odchodziła ?

Nie umiałem znaleźć odpowiedzi na te pytania.

* * *

Znalazł je Leopold.

Leopold jest policjantem. Emerytowanym. To znaczy byłby nim, gdyby pozytywnie go zweryfikowano po przełomie roku 1989. Nie zrobiono tego jednak i Leopold z hukiem wyleciał z milicji, która właśnie zaczynała się zamieniać w policję. Leopold jest więc milicjantem, który nigdy nie został policjantem, choć bardzo chciał. Swego czasu był nawet dzielnicowym, jednak miotła historii wymiotła go z pracy tak, jak on wymiatał z parku złodziejasków, drobnych pijaczków i bumelantów. Wymiótł też - na swoje nieszczęście - paru spiskujących przy butelce opozycjonistów a ci nigdy mu tego nie zapomnieli. Został więc Leopold, wielkie, dwumetrowe chłopisko, rzucony przez zakręcającą Historię na pastwę prac dorywczych i strumienia alkoholu. Z pierwszego korzystał wtedy, kiedy musiał, z drugiego - regularnie.

I to właśnie pociąg Leopolda do alkoholu rzucił wreszcie światło na zagadkę Panny Kodi. Leopold bowiem, wyproszony z baru, gdzie nie zdołał uiścić rachunku, włókł się smętnie po parkowych alejkach, których niegdyś strzegł przed takimi, jak ja i on sam. Kodi odprawiła już swój rytuał i zniknęła w mroku, gdy pojawił się przy mojej ławce. Postanowiłem podzielić się z nim zawartością mojego plecaka, co go bardzo ucieszyło.

- Chlup ! - oznajmił radośnie i opróżnił jednym pociągnięciem puszkę piwa.

- Chlup ! - odpowiedziałem. Trzeciego piwa nie było, mogłem więc jedynie patrzeć, jak pięćdziesiąt procent mojego rytuału znika w czeluściach Leopoldowego brzucha.

Potem zapytałem go o Kodi. A Leopold opowiedział mi historię dziewczyny, która na zawsze mu zapadła w pamięć.

* * *

Wypadek zdarzył się wiele lat temu. Tak dawno, że psychika Leopolda, tak, jak jego pamięć, zryta żrącym alkoholem, nie potrafiła go dokładnie umiejscowić w czasie. Musiało mi wystarczyć, że to było dawno a Leopold wciąż był jeszcze milicjantem i mało pił.

Bawiły się razem na placu zabaw, matka i mała dziewczynka. Leopold z przerażeniem czytał protokoły z miejsca wydarzenia i relacje świadków, znał bowiem jedną i drugą. Znał zresztą wszystkich, a wszyscy znali jego. Dolny Mokotów to takie miejsce na świecie, gdzie nocami skwery i parki umierają na chorobę alkoholową, emeryci miewają koszmary, które prowadzą ich do najbliższej gałęzi a dzieci nierzadko mają dzieci. Tak było i w tym przypadku. Dziewczyna bawiąca się z dzieckiem na placu zabaw miała może siedemnaście lat, jej córeczka - dwa i pół. Huśtały się długo na skrzypiących i zdezelowanych huśtawkach - nie wiadomo było, której z nich sprawia to większą przyjemność. Wyglądały w każdym razie, jak siostry. Później zaś szukały skarbów w piaskownicy a gdy na placu zabaw pojawił się mały, wygłodniały

jeż, rzuciły się pędem do pobliskiej wierzby, aby narwać mu liści. Chwilę później było już dwadzieścia jeży.

Zrobiło się późno i ciemno. Dziewczynka była tak zmęczona, że jej młoda matka musiała ją nieść, dziecko zasypiało na rękach. Miały na szczęście blisko do domu, tylko parę kroków do szerokiej ulicy i kilka za nią. Przeszły obie obok mojej ławki, której tu jeszcze wtedy nie było. Przejścia dla pieszych ani świateł na Belwederskiej również nie. Bo gdyby były, Leopold pewnie nie zachowałby koszmarnych wspomnień.

Może to mrok, może zmęczenie, może coś innego. Kierowca nawet nie próbował hamować. Ogromna wywrotka, wyładowana po brzegi piachem tylko podskoczyła i świat pogąrzył się w ciemności.

- Dziecko zginęło na miejscu. - powiedział Leopold. – To była kompletna masakra. Kilka tygodni później matka, z połamanymi nogami i zmiążdżonym biodrem, zdołała jakoś wspiąć się na parapet szpitalnego okna, kiedy nikt nie widział i po krótkim locie dołączyła do córki. Życie przestało mieć dla niej jakiegokolwiek sens.

- Ona nie zginęła, Leopold. - powiedziałem. Wzruszył tylko ramionami.

- Pół dzielnicy było na pogrzebie. To była wtedy głośna sprawa...

- Ona nie zginęła. Przychodzi tutaj codziennie, widuję ją wieczorami. W dzień zresztą czasem też, chociaż wtedy jest jakaś ... inna.

Leopold tylko pokiwał głową.

- Widziałem jej ciało. Służbowo. Masz jeszcze piwo ?

Nie miałem. I nie miałem ochoty na dalszą rozmowę.

* * *

Panna Kodi miała więc nie istnieć. Była moim wymysłem. Moim chorym wymysłem, który przeszedł w paranoję i obsesję. Zastanawiałem się poważnie nad wizytą u psychiatry. Przez kolejne dwa tygodnie nie byłem w stanie zebrać się do wieczornego spaceru. W końcu jednak poszedłem.

I była tam. Jak zawsze.

* * *

Popychała pustą huśtawkę. Podeszedłem bliżej, poczułem jej zapach, słyszałem, jak nuci pod nosem.

- Czy mogę ? - zacząłem.

- Malwina. - odpowiedziała po prostu.

Nie zrozumiałem.

- Malwina. - powtórzyła. - Miała na imię Malwina.

Zatrzymała nagle huśtawkę. Popatrzyła na mnie, lecz tym razem jej spojrzenie nie było puste ani nieobecne. Stała tak przez chwilę, po czym odwróciła się i odeszła. Skrzypnęła żelazna furka u wejścia na plac zabaw, zatrzepotało na wietrze kilka suchych liści.

- Kooooodiii ! - usłyszałem.

Nigdy więcej jej nie spotkałem.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.